



Iwaszkiewicz w Krakowie

Po kilku nieudanych spektaklach na Małej Scenie Teatru im. J. Słowackiego przy ul. Filipa — miła niespodzianka dla zwolenników pisarstwa autora „Sławy i chwały”. Zaprezentowanego tu opowiadania w 2 aktach pt. „Kosmogonia” słucha się z niekłamanyim zainteresowaniem. W cichej leśniczówce rezyduje młody człowiek Sewer z domownicą, Balladyną. Pojawia się jego starszy brat, Wiktor. I Rena Kalinowska, aktorka, która zjeżdża tu rokrocznie, aby uczcić tragicznie zmarłego syna — Inia. Nastrój spotkania, sceneria jesienno-wieczorna są podsyte jakimś nerwowym oczekiwaniem, nabrzmiewają niepokojem. Odczuwa się nieomal smugę cienia, w jaką wkroczyli ci ludzie. Bardzo to wszystko iwaszkiewiczowskie. Stopniowo, w miarę narastających rozmów, wyznań i zwierzeń, wciągnięci zostajemy w gąszcz wzajemnych splotów, jakie wiążą te osoby. Łączy ich zbrodnia, zdrada, miłość, ponury czas okupacji i próba zbudowania filozofii życia poprzez uzasadnienie jego bezsensu. Tworzy ją Sewer, klepski literat zakochany w Iniu. Zamordował go, aby ocalić fascynującą urodę i młodość, aby utrwalić te wartości i przenieść je w mięt.

Iwaszkiewicz w słowie odautorskim zwraca uwagę, że pomysł utworu sięga lat przed pierwszą wojną; ostateczną redakcję określiła atmosfera wojny wietnamskiej. Ale i bez tego przypomnienia jego opowiadanie sceniczne uderza przesyconiem niejako dwudzielnym przenikających się nawzajem klimatów: modernizmu i współczesnego egzystencjalizmu. Akcję natomiast i konflikty tego utworu popycha mechanizm ibsenowski. Wszystko już się właściwie stało, dawno, przed laty. Teraz cały ciężar i ładunek grzechów dźwigany przez jego bohaterów zacznie dopiero eksplodować. Bo jak u bohaterów Ibsena — iwaszkiewiczowskie postaci działają na zasadzie mechanizmów o spóźnionym zapłonie. Wiele razy w tym gronie się spotykali — ale dopiero to, co zostanie przed nami zagrane, skończy się wybuchem i porażeniem. Zmiażdży i zniszczy. Nim to nastąpi wysłuchamy w akcie pierwszym szeregu dysertacji, później nastąpią spięcia, odkrycie tajemnic i wreszcie katastrofa.

Sprawny dialog Iwaszkiewicza, punktowany cierpką oceną naszego czasu, pulsujący szarpaniną człowieka zarażonego śmiercią, zagrożonego wojną i nie tylko nią — zaskakująco dobrze funkcjonuje w schemacie tradycyjnego, ibsenowskiego narastania tragiczności. Umuje swoją staroświeckością (ona to właśnie łagodzi drastyczność moralną ukazanego problemu), a zarazem przypomina, że niepodobna wyzwolić się od dręczących człowieka wątpliwości i tęsknot, ciągle pojawiających się i rejestrowanych przez sztukę, bo nierozłączne związane są one z ludzką kondycją.

To bardzo trudny utwór dla sceny. Konieczny jest tu odpowiedni klimat i nastrój rozgrywanego się dramatu. Nie potrafiła tego wydobyć swoją scenografią Barbara Stopka. Ale reżyserka, Maria Wiercińska, uchwyciła różniący rytm spotkania, od elegijnej spokojności do tragicznego finału. Jego czystość zepsuła, niestety, zgola nieuzasadnionym wyeksponowaniem Balladyny i jej zaborczego, chciwego przechwycenia zapisu na leśniczówkę po śmierci Sewera. Potknięcie pisarza zostało wyołbrzymione nad miarę. W przedstawieniu tym na wyróżnienie zasługują dwie role. Młody aktor, Jerzy Karnas, zaskoczył dojrzałą grą, mimo zbyt natrętnie psychopatycznego rozwijania scen finałnych. Maria Malicka jako aktorka była postacią, która nie tyle zagrała swój dramat, co opowiedziała go doblerajac delikatnych i subtelnych środków wyrazu. Za największą zasługę reżyserii i aktorów uważałbym jednak zachowanie swojej struktury opowiadania scenicznego Iwaszkiewicza. **MARIAN SIENKIEWICZ**